Norman Boehm – wielki przyjaciel Polski

Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm, Warszawa 2013 r.

Norman Boehm zmarł w Wilmington w stanie Delaware w USA. Był Amerykaninem, nie mówił po polsku, ale był wielkim rzecznikiem spraw Polski w Ameryce. Jego listy w sprawie przyjęcia naszego kraju do NATO są cytowane w książce Jana Nowaka-Jeziorańskiego "Polska droga do NATO".

Norman Boehm urodził się w 1938 roku w Dover w stanie New Jersey. Był inżynierem chemikiem, prawnikiem i specjalistą od wielkich kontraktów. Pracował w firmach związanych z ropą naftową: najdłużej – 16 lat w ARAMCO w Arabii Saudyjskiej, potem w Exxon w Londynie, w Stavanger w Norwegii i w Teksasie. W Londynie przeprowadzał kontrakty w ramach słynnego projektu "North Cormorant" w 1976 roku.

Kontrakt ten, dotyczący szybów wiertniczych na Morzu Północnym, uznano za najcenniejszy w historii firmy Esso i Shell, został skończony przed terminem i zaoszczędzono wiele milionów dolarów. Polska zaproponowała mu także rolę konsultanta, kiedy nasz kraj miał sprowadzać rurociągiem gaz z Norwegii. W 2003 r. Boehm wygłosił na Politechnice Łódzkiej wykład o sposobach sporządzania kontraktów i zasadach etycznego postępowania przy zawieraniu umów przez wielkie firmy.

Norman Boehm był też pianistą; kochał muzykę Chopina,

Czajkowskiego. Lubił jazz, m.in. Cola Portera, a z polskich muzyków Włodzimierza Nahornego. Codziennie grywał na pianinie. Był też pilotem; dwa lata latał jako pilot wojskowy w US NAVY. Licencję pilota miał do końca życia i przez wiele lat latał małym samolotem Aeronca Chief model 1948.

Od 26 lat był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, autorki ponad 20 książek opublikowanych w języku polskim i kilku tytułów, które ukazały się po angielsku w Ameryce.

Norman, zapewnia jego żona, stał się niemal polskim patriotą. Zabierał np. głos w sprawie przyjęcia Polski do NATO, o czym pisał Jan Nowak-Jeziorański w książce "Polska droga do NATO". Inicjował wraz żoną masowe wysyłanie listów do kongresmenów; prowadził korespondencję w tej sprawie z senatorem Joe Bidenem i senator Kay Bailey Hutchinson. Jan Nowak-Jeziorański pisał, że gdyby wszystkie 50 stanów Ameryki miały Normana Boehma i Aleksandrę Ziółkowską-Boehm to byłby spokojny o nasze przyjęcie do NATO.

Norman Boehm często interweniował w sprawach Polski i robił to sam, z własnej wrażliwości – zaznacza Ziółkowska-Boehm. Nieraz zwracał się do amerykańskich mediów, zwłaszcza "Time'a" i "New York Timesa" oczekując sprostowania nieprawdziwych, krzywdzących Polskę określeń "polskie obozy pracy", "polskie obozy śmierci".

Po ukazaniu się na amerykańskim rynku kolejnej książki Jana T. Grossa: “Fear: Antisemitism in Poland after Auschwitz” (“Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz”), kiedy amerykańskie media masowo publikowały nieprzychylne Polsce recenzje Norman Boehm wystąpił w obronie wizerunku Polski. Kiedy w pełnej emocji, wychwalającej książkę Grossa recenzji Elie Wiesel, laureat pokojowej Nagrody Nobla stwierdzał, że m.in.: “Antysemityzm przetrwał najbardziej w Polsce” Norman Boehm napisał w “The News Journal” (27 lipca 2006 r.), że w Polsce “nie ma więcej antysemityzmu niż gdzie indziej” i przypomniał, że “Polska przyjmowała Żydów wtedy, gdy inne kraje europejskie ich wypędzały”.

Mąż pisarki był protestantem-prezbiterianinem, ale chodził z żoną do katolickiego kościoła. Oboje byli zaangażowani m.in. w problematykę amerykańskich Indian, sponsorowali indiańskie szkoły i fundacje. Po wspólnych licznych odwiedzinach rezerwatów i wywiadów z Indianami powstała książka Aleksandry, która w Polsce ukazała się pod tytułem “Otwarta rana Ameryki”, w Stanach wydawcę “Open Wounds – A Native American Heritage” pomogli Boehmom znaleźć Apacze.

Norman był szwedzko-niemieckiego pochodzenia. Jego kuzynką była wielka gwiazda filmowa Ingrid Bergman. Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm “Ingrid Bergman prywatnie” ukazała się w wydawnictwie Prószyński i S-ka., a w Stanach

wyszła pt. “Ingird Bergman and her American Relatives”. Opisane w niej zostały m.in. spotkania Normana z kuzynką Ingrid w Paryżu, Deauville, Nowym Jorku, Londynie.

Norman Boehm często odwiedzał wraz z żoną Polskę; chętnie podróżował po naszym kraju. Pokochał Zakopane. Podobał mu się Gdańsk, Nieborów. Najlepiej czuł się jednak w Warszawie. Często uczestniczył w spotkaniach autorskich Aleksandry z polską publicznością. Był przez grono jej czytelników traktowany jak ktoś dobrze znany, serdeczny i bliski.

Oboje z żoną bardzo kochali zwierzęta. Wielokrotnie lecieli samolotem z Ameryki do Polski i z powrotem, z dwoma kotami na kolanach, co naturalnie też zostało opisane w książce “Podróże z moją kotką”.(PAP)

źródło:
http://dziennikzwiazkowy.com/ameryka/zmarl-norman-boehm-wielki-przyjaciel-polski/

Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm na tle rzeźby Crazy Horse, Dakota Południowa 1999 r.

Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Mount Rushmore, South Dakota, 1995 r.

English version:

https://archiwum2019-en.mon.gov.pl/poland-in-nato/path-to-nato/a-silent-hero-k2010-07-03/

Wiersze z Australii

fot. Anna Fiala (Australia)

Anna Habryn

Wieloryb na brzegu

Przyjaciele zostali z drugiej strony wody

Albo pomarli

Jeszcze nie zapomniałem jak odchodziła ostatnia z dziewczyn

Mam pięćdziesiąt pięć lat

Jeszcze mógłbym coś robić – tam

Kiedyś pracowałem przecież

Jedyna przyjemność jeść

Tyję bo łykam prochy

Depresja

Twarzą w piach

odwracam się od słońca piach jest drobniutki, przylega do skóry wysusza jestem coraz

suchszy w środku na wiór tylko za ciężki żeby się unieść jak kloc przewalam się z

boku na bok w zasięgu wzroku trawa szorstka i piasek dłonie pieszczotliwie ostrożnie

próbują dotknąć, pomóc zachęcić do wysiłku lecz woda już daleko, odpływ zabiera

nadzieję

na ocean, gdzie przestwór wypełniony życiem

drobiny planktonu

kołyszą sie z falą kompletnie szczęśliwe

dają się pochłonąć wypełniając misję

wielcy i mniejsi gonią za jedzeniem

pożeracze i pożerani w zgodzie

z porządkiem świata

Leżę bezsilnie i czuję żal

Tęsknię, śnię morze

Outback

Outback się rodzi z legendy

z zardzewiałego złomu

czerwonej od rudy ziemi

porytej przez ludzką chciwość

Tutejsi ludzie głoszą piękno

zachodów słońca i bezmiaru nieba

istnienia bez reszty świata

przyrody co żyje własnym życiem

i nie poddaje się bez walki.

W buszu zagubione dusze kołują

miedzy pierzastą nadzieją obłoków

a piekielnym żarem kamieni.

Ziemia nie syci ich głodu

nie zaspokaja pragnienia.

Opustoszałe miasteczka

wspomnienia marzeń wycinają z blachy

i ustawiają wzdłuż smutnych ulic

dla przejeżdżających turystów.

Adam Tomaszewski jako poszukiwacz symetrii kultur

Wilek Markiewicz, Toronto, stare miasto.

Ewa Bagłaj

Obraz Kanady w powojennej literaturze polskiej

W *Wiośnie u Wielkich Jezior* Tomaszewski łajał „polonijną wysepkę” w Kanadzie za brak inicjatywy w budowaniu mostów, które pozwoliłyby zbliżyć się naszym rodakom do innych nacji,

kultur i wyznań. W następnej swojej książce o Kraju Klonowego Liścia pokazał, jak można stworzyć taki pomost pomiędzy Kanadą a Wielkopolską poszukując tego, co w nich podobne. Takich wspólnych punktów, jak się okazało, jest zaskakująco wiele. „Poszukiwaczem symetrii, nie kontrapunktu" nazwał twórcę *„Krzyku dzikiej gęsi"* Sergiusz Sterna-Wachowiak, badacz esencji „kanadyjskości" w literaturze i sztuce autora, chyba jedynej tego typu inicjatywy w polskiej krytyce. (Sergiusz Sterna-Wachowiak, *Szukanie Kanady. Esej torontoński* [w:] „Akcent" 2002, nr 3, s.66).

Tomaszewski, potomek wielkopolskich Robinsonów, co to „zagospodarują nawet wyspę bezludną", odnajduje w nowej ojczyźnie znany sobie światopogląd i wynikający z niego typ zachowań.

Skoncentrowanie się na poszukiwaniu podobieństw między pierwszą i drugą ojczyzną jest czymś oryginalnym, mocno wyróżniającym obraz Kanady zawarty w twórczości „torontończyka kościańskiego pochodzenia" na tle wielu innych.

Wielokulturowość jest tu jedną z najlepiej widocznych cech po obu stronach tej osi symetrii. Jest ona najistotniejszą wartością kanadyjskiej społeczności, budzącą wdzięczność i miłość do tolerancyjnego państwa:

„Toronto, Taraunto, Tronto, nawet Trana… słyszy się codziennie. Na ulicy, w tramwaju, w biurze, w sklepie, przy warsztacie pracy. Takie to i miasto. Wymawia się jego nazwę samodzielnie, indywidualnie – każdy inaczej.

Inaczej Brytyjczyk. Inaczej imigrant z kontynentu. Inaczej profesor uniwersytetu. Inaczej kierowca taksówki. Jeszcze inaczej chłopiec na posyłki. Ale wsłuchując się w wymowę nie zawsze kulturalnie brzmiącą, wymowę szarego człowieka torontońskiej ulicy, nietrudno wyczuć podziw, wiarę, szacunek, miłość. Do swego miasta". (Adam Tomaszewski, Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.181).

Autor jest jedną z tych osób. Nic zatem dziwnego, że jego portret Kanady przypomina trochę fotografię ukochanej. W tonie bliskim miłosnemu zwierzeniu utrzymany jest choćby ten na wskroś poetycki opis:

„»O Canada…« (…) jesteś w szumie sosen pochylających się nad wartką Madawaską. Jesteś w postaci starego drwala z Killaloe. W opowieściach zgrzybiałego Jacka, który już nie zadba o swą linię sideł przerzynającą się przez haliburtoński busz. W szkarłacie jesieni ubierającej północny las. W zgrzycie pił odległego tartaku. W gwiździe pociągów budzących tęsknotę w samotnych godzinach nocy. I u Cape Bonavista, i u Zatoki Ha ha ha, na Eagle Peak, na Blue Hills, na Avalonian Ranges…

Jesteś w pieśni regionalnej. W iglicy katedralnej wieży”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus- Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.44).

Nawet dociekania na temat genezy nazwy państwa przybierają formę monologu zakochanego, który cieszy się brzmieniem drogiego mu imienia. „Kanada. Co za dziwne, urocze słowo. Odzywa się w nim jakby tęsknota, jakby dalekie wołanie. Może tak brzmi krzyk dzikich gęsi ciągnących nocą w samotnej dyscyplinie klucza, pod północną zorzą? Może tak zawodzą mewy nad wydmami Nowej Szkocji? Może wymyślili to słowo pierwsi władacze tej ziemi, Irokezi, nazywając swe domki »kanata«, może zasługę przypisać należy plemionom Algonquin, wracającym z wypraw do swych osiedli – »odanah« ?

A może to hiszpańscy żeglarze? Porwani gorączką złota i rozgorzałą właśnie odkrywczą »competition«, jeszcze przed Champlainem dotarli do Jeziora Couchiching. I kiedy w nadbrzeżnych skałach i na ławicach żółtego piachu nie pokazał się drogocenny kruszec, zawodzili płaczliwie »Aca nada«, »Aca nada« (nie ma złota). Gdy w pogodny, letni dzień samotny wędrowiec tnie dziobem swego »canoe« toń jezior Haliburton czy Kawarthy, z gąszczów przybrzeżnych dojdzie go swojskie, dobrze znane wołanie. To wróbel kanadyjski z biało upierzonym gardziołkiem, śpiewa na cześć słońca, lata, życia: »Sweet, sweet, sweet Canada, Canada, Canada«”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-

Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.42-43).

Jak każdy miłosny związek, tak i uczucie do „słodkiej Kanady” (tak określają ją słowa hymnu państwowego) ma swoją dynamikę. Na początku było więc niejasne pojęcie o tym, że ona w ogóle istnieje. Wtedy jeszcze w cieniu dominującej „koleżanki”:

„W geografii szkolnej musiała być mowa o Kanadzie. Ale widocznie nie za dużo i nie za dobrze nauczono, skoro pojęcie zostało raczej mgliste. Właściwie zawsze podświadomie miało się przekonanie, że to mniej więcej to samo co Stany Zjednoczone. Ot, po prostu Ameryka”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.19).

Fizyczny kontakt z Krajem Klonowego Liścia to wynik „małżeństwa z rozsądku”- Kanada była jednym z kilku państw, które zdecydowały się przyjąć polskich żołnierzy po drugiej wojnie światowej. Pierwsze doświadczenie to praca ponad siły i nieżyczliwość właścicieli farmy:

„Dzień zamknięty między 4.30 A.M. a 10 P.M. Piętnaście godzin męki, wysiłku, agonii, niezadowolenia, szyderstwa, drwiny (…) Na dłoniach nabrzmiałe, bolesne pęcherze”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s. 13).

Gospodarz, Szkot Mac Call, szybko rezygnuje ze „słabowitego” robotnika i odwozi Adam do biura pośrednictwa pracy. Tam bohater autobiograficznego reportażu decyduje się szczerze opowiedzieć o swej niedoli urzędnikowi:

„I nie zawiodłem się. Z największym zdziwieniem, zaskoczeniem, ulgą zobaczyłem na twarzy przedstawiciela kanadyjskiej władzy państwowej życzliwy uśmiech. I to był dla mnie szok, najradośniejsze uczucie, najradośniejsze przeżycie. Kanada jest inna. Kanada nie składa się tylko z Mac Callów (…) Były potem i przeciwności i trudności i gorzkie nieraz doświadczenia. ale i piękniała nam ta Kanada, rozsłoneczniała się, coraz bardziej…”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s. 17-18).

Zwłaszcza Toronto obdarzy autor po latach takim uczuciem jak kogoś bliskiego. Sugeruje tę postawę m.in. często występujący w opisach miasta zabieg personifikacji jego architektury, np. „Stary ratusz grzeje swe mury w słońcu”, „I śmieje się do wiosny ulica i zatacza się trochę z radości, trochę od…piwa”. (o Queen Street).

„Toronto, Tronto, Trana” maluje portret pięknej metropolii, największego i najprężniej rozwijającego się miasta spośród położonych powyżej północnej granicy Stanów Zjednoczonych. „Tomaszewscy byli świadkami szybkiego przeobrażenia się Toronto z prowincjonalnej, nudnej mieściny w elegancką i

kulturalną metropolię, należącą do czołówki atrakcyjnych miast na amerykańskim kontynencie”. (Florian Śmieja, Pisarze polscy w Kanadzie, s.118). Obserwowali te zmiany codziennie, jak śledzi się rozwój dziecka i coś z macierzyńskiej troski a zarazem dumy rodzica, który przeczuwa przyszłą wielkość najmłodszej pociechy, pobrzmiewa w ich stosunku do Kanady:

„W cieniu Stanów Zjednoczonych i Anglii, dwóch starszych braci, kanadyjski chłopiec dopiero się uczy, dopiero odnajduje w sobie nieznane dotąd bodźce, dopiero odkrywa własne wartości w zapiskach historii tego kraju, dopiero zaczyna kształtować opinię o własnej mocy, możliwościach, charakterze. Ale ten naród ma wszystko potrzebne do wielkości. naród dopiero w marszu, dopiero »in the making«. Żaden naród kilkunastomilionowy nie zamieszkiwał dotąd takich przestrzeni, żaden nie był tak bogaty, żaden nie miał tak potężnych aliantów. Słowo alianci nie jest tu zresztą najszczęśliwsze, wymienione potęgi i narody to raczej rodzina. W rodzinie mogą być kłótnie i nieporozumienia, ale w razie potrzeby – staje się murem. Więzy te bardzo są mocne. Wspólna historia, wspólnie na polach bitew rozlana krew, wspólna tradycja, język, pieśń…”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.42).

Kto ma nową rodzinę, nie tęskni tak mocno za tą utraconą, w której urodził się i wychował. Dlatego może w prozie mieszkańca tego wielokulturowego Domu „na próżno szukać (…) rozpaczy

wygnańca, tułacza, włóczęgi. (Piotr Śliwiński, Lustro i echo. *O pisarstwie podróżniczym Adama Tomaszewskiego* [w:] *Jesteś wszędzie, Itako…*,s.41).

Na początku wygnańczej wędrówki Tomaszewskich myśl ucieka przy byle okazji do polskiego Domu, który zmuszeni byli opuścić. „Mijają lata. Gorsze i lepsze. Lata oporów wewnętrznych, niechęci i krytyki”. (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana, s.27).

Z czasem jednak okazuje się, że to nie bezładna tułaczka, ale pielgrzymka, której celem jest Dom. I ten cel został osiągnięty. Jest to bowiem nowy Dom – kanadyjski. Bo centrum świata stało się dla nich Toronto. Tak jak poeta Czaykowski „narodzili się raz jeszcze” w tym kraju. Ale ten moment ustalenia się nowego centrum świata to wynik długiego procesu asymilacji:

„Stopniowo krytyka – nieunikniona, bo leżąca w naszym charakterze narodowym – słabła w nasileniu. Już zaczynaliśmy Kanady bronić. Z początku przed nowszymi imigrantami z innych krajów. Już denerwowało nas, że wszystko im się nie podoba, gdy nie znają jeszcze cząstki prawdy o tym kraju. Potem przyszły chwile innej, bardziej drastycznej obrony. Gdy coraz częściej zaczęli przybywać goście z własnego kraju, gdy raz po raz słyszeliśmy, że wszystko co polskie, to lepsze. Czy ucichła tęsknota? Czy stępiało uczucie? Nie wiemy. I choć trudno nam

powiedzieć jeszcze »Chosen Country«, jak Dos Pasos o Stanach, bośmy tego kraju nie wybrali, wytworzyło się już w nas przywiązanie, poczucie łączności. Poczucie ważniejsze niż formalność uzyskania obywatelstwa, niż prawo głosowania. Ludzie z pokolenia średniego rzadko bardzo stają się stuprocentowymi Kanadyjczykami, ale i dla nich po latach jest jasne, że Kanada to nie tylko schronienie czasowe dla tułaczy, to nie jeden z wielu namiotów długiej wędrówki po świecie, ale dom, do którego się wraca". (A. Tomaszewski, J. Jurkszus-Tomaszewska, Toronto, Tronto, Trana).

Kościan, miejsce urodzenia Adama Tomaszewskiego.

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto, listopad 2005 r.

Czesław Miłosz

jakiego będę pamiętać

Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj

zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje

ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie

(Cz. Miłosz z tomu „To”)

Barbara Gruszka-Zych

Wiedziałam o chorobie Czesława Miłosza, ale i tak nie mogłam uwierzyć w wiadomość, która dotarła do mnie w sobotę, 14 sierpnia 2004 roku. Zwłaszcza, że „Mój Poeta” patrzył na mnie z naszych wspólnych zdjęć, zawieszonych na ścianie mojego pokoju. Robiłam je, ilekroć odwiedzałam Autora *Nieobjętej ziemi* w jego krakowskim mieszkaniu. To dzięki niemu „uwierzyłam” w życie pozagrobowe. Kiedyś złożyłam Profesorowi wizytę, nastawiona, że będziemy rozmawiać o poezji, a on zaczął mnie wypytywać o sprawy osobiste, o których opowiadałam mu przed kilkoma miesiącami. Myślałam, że o nich zapomniał.

– Martwiłem się o panią – mówił. – Zawsze pani dobrze życzyłem, myślę o pani ciepło – powtarzał. I wtedy poczułam, że jeśli ktoś jest dla mnie tak życzliwy na ziemi, to musi być też i po drugiej stronie. Że te dobre uczucia nie mogą się tu skończyć, zginąć, ale spotkają mnie tam…

Poznałam go w Krakowie, chciałam przeprowadzić z nim wywiad do „Gościa Niedzielnego”, byłam ostatnia w kolejce czekających. I miałam szczęście, bo autor *Kontynentów* był zmęczony i zaproponował mi spacer, a potem kawę u Noworolskiego. Zamiast robić wywiad, rozmawialiśmy o życiu, o Ameryce, w której mieszkał i wykładał w Berkeley na wydziale literatur słowiańskich. Mówił, że nie przebywa w świecie prawdziwie amerykańskim, nie ogląda telewizji, nie czyta narzucanych przez krytykę bestsellerów, ale siedzi w swojej samotni i bardzo dużo pracuje – studiuje, czyta, pisze:

– Po takich podróżach lubię zamknąć się w swojej pustelni.

Taki też był do końca. Nawet złożony chorobą, kiedy już nie mógł sam czytać, chętnie słuchał, jak inni czytali mu listy, teksty, książki i sam dyktował. Podczas pierwszego spotkania na pożegnanie dałam mu swój pierwszy tomik. Po miesiącu dostałam list z Berkeley z oceną wierszy i zachętą do pisania. Odtąd czytał każdą moją nową książkę, oceniał ją w listach, a kiedy przed 7 laty przeniósł się do Krakowa i zamieszkał przy ulicy Bogusławskiego, zapraszał mnie do siebie i na gorąco komentował moje wiersze.

– Niech pani tradycyjnie siądzie w miękkim fotelu, a ja tu – brał swoje twarde krzesło. Jaka była moja radość, kiedy pod swoją mleczną lampą siadał z przyniesionymi przeze mnie kartkami i

po kolei przeglądał je, dzieląc się uwagami. Zdarzało się, że po swojemu chwalił mnie: *bene, molto bene, tres interessant.* Kiedyś wspólnie szukaliśmy tytułu do mojego kolejnego tomiku. Poeta wybierał cytaty z moich wierszy, aż nagle ucieszył się i powiedział:

– *Zapinając kolczyki.* Niech pani uchyli przyłbicę i przyzna się, że jest kobietą.

Potem wielokrotnie przypominał mi, że wymyślił dobry tytuł. Zachęcał do wydania kolejnych książek:

– Jak składam tom, to też wciąż się zastanawiam, co jest w nim do zostawienia, a wreszcie daję spokój. Trzeba zamknąć jakąś część życia, odejść kilka kroków dalej i zgodzić się na to, że taki byłem – opowiadał. Spytał mnie też kiedyś przekornie, czy gdyby powiedział, że już nie powinnam pisać, to bym go posłuchała. Zaprzeczyłam, zdając sobie sprawę, że poeta uświadamia mi, iż konieczność notowania jest dla mnie imperatywem, siłą wyższą. To on, sławny noblista, chciał rozmawiać ze mną – wtedy jeszcze młodą dziewczyną z jakieś tam nieznanej Czeladzi. Poświęcał mi czas, przejmował się moimi problemami. Wiem, że także sprawy wielu innych osób były dla niego ważne. Sam podkreślał, że urodził się na prowincji, na Litwie, we dworze w Szetejniach, w dolinie Niewiaży – jego ukochanej Issy, między Kiejdanami a Krakinowem. Pojechałam tam w czerwcu tego roku, świadoma,

że Poeta jest ciężko chory. W Szetejniach zobaczyłam biały, odremontowany dwór, otoczony przetrzebionym, „uporządkowanym” dla turystów lasem. Słychać było, jak kukają kukułki, ale nie starałam się liczyć, ile „wróżą” lat… Badaczka dziejów Miłosza – Birutė Jonuškaitė opowiedziała mi, że kiedy poeta ostatnio odwiedził to miejsce, szukał wśród drzew ulubionej leszczyny i nie mógł jej znaleźć. Rozglądaliśmy się, jakby kontynuując jego poszukiwania.

Nie poznajesz mnie ale to ja ten sam

Który wycinał na łuki twoje brunatne pędy (…)

Szkoda, że tamtym chłopcem już nie jestem, bo widzisz, chodzę o lasce

Rozmawiał potem z drzewem w wierszu *Do leszczyny.* Z Szetejń pływał Niewiażą z ciotkami do kościoła w Świętobrości. Koło świątyni stoi zadbany pomnik jego babki Józefy Syruciowej, której mąż Zygmunt Kunat napisał *Najlepszey żonie.* Patrzyliśmy na cmentarz w popołudniowym słońcu, pogłębiającym cienie wokół napisów na nagrobkach, *Kalifornijski wędrowiec,*

przechowuję talizman, zdjęcia pagórka w Świętobrości, gdzie pod dębami leżą dziadek Zygmunt Kunat – wyznawał w wierszu *Mój dziadek Zygmunt Kunat.*

To Czesław Miłosz, jak go nazywałam, „Mój Poeta”, ale też – za jego sekretarką, Agnieszką Kosińską – „Profesor” nauczył mnie zwracać uwagę na ludzi, nazwiska, szczegóły:

– Odeszła pani od subiektywnego widzenia świata, tak charakterystycznego dla poezji współczesnej, do obiektywnego. W pani wierszach są rzeczy, detale, to coś innego niż emocje, skupianie się na sobie.

Kiedy czytał mój wiersz o klasztorze kontemplacyjnym sióstr klarysek w Starym Sączu, cieszył się:

– To jest właśnie to: woda obmywająca ofiarne bulwy ziemniaków, ogień gazowego piecyka. To są przedmioty, konkrety, ładne, tak… Czy pani się zastanawiała, jak przedmioty potrafią nosić na sobie znaki, odbicia osób, które je miały? – pytał po lekturze mojego wiersza o dziewczynie, która w sklepie z używaną odzieżą zostawiła razem z sukienką szalone lato. Na półkach mam kilkadziesiąt książek Miłosza z jego autografami, dedykacjami dla moich synów, dla mnie. Z literami pisanymi nieodmiennie wiecznym piórem, które nosił w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki.

– Brak pióra to nie powód, żebym nie wpisał pani dedykacji – śmiał się w zeszłym roku, nie mogąc go znaleźć. Jego ostatnie tomy były nieustannym zbieraniem się do odejścia. A jednocześnie zapisem niepohamowanego zachwytu nad światem. To chyba najwybitniejsze strofy poezji polskiej o życiu i śmierci. Wiersze, które podbiły Stany Zjednoczone (w USA uważają, że Miłosz to „ich” poeta).

Kiedy po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj

zamieniony w samo patrzenie będę dalej pochłaniał proporcje

ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie

notował w tomie *To.* Albo:

Jasności promieniste

Niebiańskie rosy czyste

Pomagajcie każdemu

Ziemi doznającemu.

Te wiersze dla niektórych były jak modlitwa. Poznałam zakonnicę, która czytała je zamiast medytacji. Słyszałam o księdzu, który kazał je zamknąć ze sobą do trumny. A przecież sam poeta miał do swojego pisania (i pisania w ogóle) tyle zastrzeżeń.

– Literatura nie bardzo daje się pogodzić z ewangelicznym wskazaniem *Gdzie skarb twój, tam serce Twoje* – mówił mi. – Bo skarb poety i każdego twórcy zanadto jest umieszczony w tym, co robi, a to, co robi, jest związane z jego osobą. W samym założeniu spędzanie tylu godzin na obcowaniu ze sobą staje się niebezpieczne, oddziela od innych.

Kiedy odwiedziłam go jeszcze przed dziewięćdziesiątką, zaśmiał się:

– Przychodzi pani do starego człowieka, nie słyszę, niedowidzę.

– To może jakieś krople?– starałam się radzić.

– Gdzie tam krople, to starość. Ci, co mają mocne serce, muszą się długo męczyć.

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w sierpniu 2004 r.

Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – afrykanista i poeta

Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej oraz polski poeta i Margaret Laurence (1926-1987) – dziennikarka i ceniona pisarka kanadyjska, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Kiedy przed laty szedłem z Bogumiłem Andrzejewskim elegancką ulicą londyńską Strand, zaczął trąbić i zatrzymał się koło nas rasowy samochód, a jego pasażerowie z okrzykami radości uprowadzili mojego towarzysza z sobą. Byli to wysokiej rangi członkowie rządu somalijskiego, którzy rozpoznali swojego wielkiego przyjaciela i dobroczyńcę, ba, jednego z ojców

zreformowanego języka somaljskiego.

Wtedy w Londynie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rojno było od niezwykłych rodaków zamieszkujących czasowo angielską metropolię. Pamiętam, jak po żonę, elegancką blondynkę, przychodził po wykładach Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie postawny Marian Nowakowski, bas królewskiej opery Covent Garden, co obserwując bliżej wnioskowaliśmy, że w domu śpiewał innym głosem; w czytelni biblioteki British Museum furczał czerwony na twarzy zwalisty Stanisław Cat-Mackiewicz, szukając śmiałka, który się odważył wypożyczyć jego ulubioną lekturę, „Herbarz" Bonieckiego; ktoś chwalił się, że widział brzoskwiniowej cery generała Mariana Kukiela zaręczając, że wyglądał jak żywy; w okolicach Russell Square spotykałem nieśmiałego poetę i afrykanistę, Bogumiła Witalisa Andrzejewskiego. Przedstawił mi go mój ówczesny szef, dr Jerzy Pietrkiewicz, który go znał od 1944 roku.

Część obowiązków młodego lingwisty Andrzejewskiego polegała na skrupulatnym zapisywaniu głosów Somalijczyków w ciasnym biurze mieszczącym się naprzeciwko nieomal lokalu wydawnictwa Faber and Faber, do którego regularnie przychodził wtedy jeszcze T.S. Eliot. Ponieważ kamienica, w której uczyłem, również znajdowała się przy Russell Square, bardzo mnie radowało zacne sąsiedztwo. Pietrkiewicz wspomina o pieczołowicie nagranych taśmach, które dziś przechowuje

amerykański uniwersytet Indiana. Także sam autor mówi o nich w wierszu:

Jedni po bibliotekach siedzą nad książkami.

Inni po starych rękopisach wodzą błędnym okiem

A ja teraz trwam w pobliżu Russell Square pochylony w nasłuchu

Prawie rybim, nad koliskami magnetofonowych taśm.

Wiem, że to już był dalszy etap pracy, bo jeszcze pamiętam Bogumiła nagrywającego na drucik, pierwsze nagrania, jak zapamiętałem, były na zwojach drutu. Lecz nie tylko nagrywał, zachwycał się także egzotycznym językiem:

O jak piękne dźwięki wykształcili nasi bracia z pustyni i puszcz

W swych rozlicznych mowach!

Słucham, a tu biją

Metaliczne samogłoski, mocne jak z gardzieli spiżowego wołu..

Pokochał nie tylko język tak odmienny, ale dostrzegał również jego bogactwo i sprawność, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie zadawali sobie trudu, by go gruntownie poznać, on natomiast przepłynął „na drugą stronę semantycznego Styksu”. W liście do Pietrkiewicza z Somalii wraz z rękopisem wiersza „Kraje legendarne” informował: „Pieśni, które śpiewają na wieczornych zgromadzeniach są tak czarujące i jak chodzi o melodie, i poetyckość słów i rytm. Człowiek słuchając zatraca poczucie rzeczywistości i zdaje się, że śni.”

Bogumił Witalis Andrzejewski urodzony w Poznaniu w 1922 roku, uszedł z Polski kiedy wybuchła wojna i zawędrował do Palestyny. Jako żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich bronił Tobruku w 1941 roku i tam został ranny oraz debiutował jako poeta w prasie żołnierskiej. Obserwując nocami niebo zanotował w „Dziwach niebieskich w Tobruku”: „Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwiazdy błyszczą. Ale są bardzo dalekie. Gwiazdy są samotne, pustynia jest bezdomna.” Z pomocą obleganym pospieszyła polska rezerwa z Egiptu, w tym mój Teść, który w swoim pamiętniku opisał niefortunną wyprawę, która po zbomardowaniu przez niemieckie lotnictwo, musiała zawrócić do

Aleksandrii.

Dziesięć lat później ta jałowizna pustynna miała zawezwać do siebie adepta języków kuszyckich, a szczególnie języka somalijskiego. Jako absolwent Oksfordu pojechał na stypendium do Afryki, którą miał potem jeszcze odwiedzać trzynaście razy, w tym trzykrotnie na całoroczne pobyty.

W czasie pierwszej naukowej wyprawy w latach 1950-52 poznał młodą kanadyjską dziennikarkę, która później miała stać się wybitną pisarką, Margaret Laurence (1926-1987), wraz z mężem inżynierem znalazła się wtedy w Somalii, wówczas jeszcze brytyjskim protektoracie.

Margaret, osierocona przez matkę, kiedy miała cztery lata, pozyskała wspaniałą macochę w ciotce swojej, a siostrze matki, która będąc nauczycielką angielskiego, a później bibliotekarką, wcześnie już zachęciła ją do czytania i pisania. Pisać zaczęła jeszcze w szkole, a także ogłaszać pierwsze teksty. Po ukonczeniu filologii angielskiej została dziennikarką w prowincji preryjnej Manitoba. Po poślubieniu inżyniera, pojechała wraz z nim na kontraktową pracę do Afryki, gdzie powstały jej pierwsze książki o tematyce związanej z Czarnym Lądem.

Laurence jest autorką szesnastu książek, z których najważniejszy jest cykl powieści „Madawaka”, nazwany tak od jej

domku letniego w Kanadzie. Do nich zalicza się najgłośniejsza powieść „Kamienny anioł”, której bohaterka, starsza kobieta, wspomina swoje długie życie malując z maestrią krajobraz i obyczaje wsi w Manitobie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Kanadyjka, dzięki spotkaniu z Andrzejewskim w Somalii poznała somalijską literaturę ustną i z jego zachętą i wydatną pomocą zaczęła tłumaczyć fragmenty tej literatury na język angielski. Tak powstała jej pierwsza książka, “A Tree for Poverty” (Drzewo biedoty), zbiór przekładów poezji i prozy somalijskiej z obszernym wstępem.

„Miałam szczęście poznać Goosha Andrzejewskiego. Polaka, który tu się znalazł z żoną Angielką, by studiować język somalijski” – tak pod datą 4 września 1951 roku pisała Margaret Laurence do swojej przyjaciółki Adeli Wiseman w Kanadzie z miejscowości Hargeisa, stolicy administracji brytyjskiej.” Jest on czymś w rodzaju eksperta od języka somalijskiego i jest bodaj jedynym Europejczykiem, który z nimi potrafi rozmawiać na różne tematy w tym na podstawowe jak miłość, wojna itd. Jego asystent Musa Ismail (Galaal – przyp.FS), Somalijczyk, jest wielkim miłośnikiem literatury somalijskiej”.

W wydanej w 1963 roku książce podróżniczej „Wielbłądzi dzwonek Proroka” znajdziemy wiele szczegółów

autobiograficznych, a także nawrót do spotkania autorki z Andrzejewskimi. „Guś (jego prawdziwe imię brzmiało Bogumił a zdrobnienie wymawia się goosh) był Polakiem, mężczyzną wysokim, o pogodnej i prawie orientalnej twarzy, wysokich kościach policzkowych, nieco skośnych oczach. Był poetą w swoim ojczystym języku.

– To prawda, ale co mi z tego? – powiedział z głęboką słowiańską melancholią.

W Polsce nie można mojej poezji drukować a kogo w Anglii obchodzi wydawanie wierszy pisanych po polsku?

Jego nastrój zmieniał się jak wahadło. Niespodziewanie wybuchał śmiechem oferując nam somalijskie dowcipy albo i własne zabarwione lekką makabrą. Językiem somalijskim władał swobodniej niż jakikolwiek Europejczyk w kolonii, bo przybył badać język somalijski i jego fonetykę.

Sheila, żona Gusia, była ładną i zdolną Angielką. Wszystko robiła bez najmniejszej ostentacji, tak że dopiero po upływie pewnego czasu stawało się jasne, że była chyba jedyną w kolonii Angielką, która sama gotowała.

– Lubię gotować – mówiła – więc dlaczego nie miałabym gotować’?

Guś jadł zachłannie, ale nigdy na wadze nie przybierał. Podczas wojny, kiedy uciekał z Polski, często, przymierał głodem. Kiedy wreszcie dotarł do Anglii, wstąpił do Wolnych Polskich Sił Zbrojnych, a po skończeniu się wojny poszedł na studia do Oksfordu. Teraz gotowała dla niego Sheila z czułością, jakby mu chciała zadośćuczynić za wszelkie prywacje, które wycierpiał. Wszystko gotowała na malenkim prymusie, a potrafiła nawet przemyślnie upiec ciastka, które nazywała biskwitami, robiąc z patelni piekarnik.

– Nie czuję się żadną panią – przyznała.

Ja czułam to samo. To odkrycie bardzo nam dodało otuchy”

W korespondencji z 1963 roku Laurence napomknęła, że Guś Andrzejewski wywierał na nią bardzo dobry wpływ.

Przyjaźń z Andrzejewskimi trwała i tak po przyjeździe Margaret Laurence do Anglii donosiła ona w liście z 25 kwietnia 1965, że często widuje się z Gusiem i Sheilą, że akurat ubiegłego wieczoru u nich była. “Guś należy do najdzielniejszych i najlepszych. Nigdy nie zapomnę, kiedy tu przyjechałam dwa i pół roku temu, jak próbował bardzo, bardzo taktownie dodać mi otuchy opowiadając mi przysłowia: ‘Wśród ludzi Barona Gallo, jest powiedzenie…’ Jego przekładami posłużyłam się w artykule o Szalonym mulle’’. Jeszcze w liście do Andrzejewskiego z 25

listopada 1971 roku usprawiedliwiając niemożność przyjazdu do Londynu nawałem pilnej pracy, zapraszała do siebie na weekend.

Pisząc o twórczości Margaret Laurence Clara Thomas podkreśla, że jej technika pisarska wiele zawdzięcza Afryce, ucho autorki wyczuliło się na subtelne odcienie znaczenia podczas słuchania somalijskich opowieści oraz ich komentarza i obróbce literackiej z tłumaczem, którym jak wiemy, był w pierwszym rzędzie Bogumił Andrzejewski, nie tylko znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej, ale także oryginalny polski poeta.

„Drzewo biedoty" powstało w pośpiechu. Laurence nie znała języka somalijskiego i nigdy się go nie nauczyła dostatecznie, ale z młodzieńczą pasją i wielką ambicją paliła się do odkrywania nowego obszaru zainteresowania. Argumentowała, że obecni w kolonii Brytyjczycy nie wiedzieli nic o istnieniu literatury somalijskiej i że należało im tę lirykę i epikę pokazać jak najszybciej.

Spytawszy Musę, czy by nie można było przełożyć próbek tej ustnej literatury, o której słyszała, na język angielski, spotkała się ze stanowczym zaprzeczeniem. Andrzejewski natomiast, choć również powściągliwy, takiej możliwości nie wykluczał i zgodził się pomóc. Margaret wnet mogła napisać, że przystępuje do pracy troje ludzi: ona, Musa i Andrzejewski.

Wspólne przekładanie odbywało się w następujący sposób: „Musa znał wiele *gabei* i *below*, posiadał też bogatą znajomość tła i stylu poezji somalijskiej. Choć jego znajomość angielskiego była dobra, musiał subtelność słów przedyskutować z Gusiem po somalijsku. Guś i ja z kolei omawialiśmy te wersy po angielsku a ja notowałam znaczenia dosłowne, implikacje słów, odnośniki do somalijskich tradycji lub obyczajów. Wtedy byłam w stanie później pracować nad tymi materiałami i próbować ułożyć je w formę zbliżoną do wiersza przy maksymalnym zachowaniu znaczenia i ducha oryginału. Dużo było tekstów poetyckich, które mogliśmy przygotować, ale czas był ograniczony, więc ruszyliśmy zaledwie powierzchnię."

Lawrence zakończyła pracę edytorską wierszy dostarczonych jej przez Andrzejewskiego i Musę i wzięła się za prozę. Niektóre opowiadania otrzymała w formie dokładnego przekładu również od nich. Te dosłowne wersje próbowała następnie oddać po angielsku dbając o zachowanie jak najwięcej dramatyzmu oryginału. Ponieważ inne opowiadania słyszała od Somalijczyków po somalijsku lub po angielsku, a więc niepełnie, zostały one sparafrazowane, choć autorka zaręcza, że wiele z tonu i ducha udało jej się zachować. Skarżyła się przy tym że odkąd zabrakło Andrzejewskiego i Musy, nie było nikogo, kto by znał na tyle angielskiego, by dokładnie tłumaczyć.

Była zadowolona z rezultatów zorganizowanej

pospiesznie współpracy, gdyż ubolewając nad stratą pomocników, dodała: „Ale udało mi się, nim wyjechali, uzyskać dosłowne tłumaczenie wielu wierszy i opowiadań. Obecnie jestem w trakcie przetwarzania ich na , mam nadzieję, literacką angielszczyznę!” Wyjaśnia proces przekładania starając się zachować wierność i wstrzymać się od dodawania swoich wtrętów, zapewnia przy tym, że każde słowo dodane, wynika jakby z ducha utworu.

Pisząc do tej samej przyjaciółki 8 czerwca 1953 roku donosiła, że „Guś Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych przysyła mi dalsze dosłowne przekłady wierszy, nad którymi pracuję. Bierze się teraz za bardziej złożone i długie somalijskie gabei, które będąc znakomite po somalijsku, są okropne dla tłumacza, by uzyskał rezultat w przybliżeniu podobny do oryginału. Cieszę się niemniej przeto, że nad nimi pracuję, tak dla samych utworów, jak dlatego, że utrzymują mnie na bieżąco w somalijskiej formie myślenia i wyrażania się.”

Choć publikując swoją pierwszą książkę Lawrence opatrzyła ją podziękowaniem i jasnym stwierdzeniem, że „Te przekłady nie powstałyby bez szczodrej pomocy Musy Haji Ismaila Galaala oraz B.W.Andrzejewskiego, którzy dostarczyli mi dosłownych przekładów wierszy i tłumaczeń dokładnych opowiadań…” wyczuwam powstanie pewnego nieporozumienia między Andrzejewskim i Laurence. Różnica zdań mogła była wyniknąć z

powodu pisowni oryginałów somalijskich. Prosiła o nie Laurence w liście z 21 lipca 1951 roku, kiedy Andrzejewscy pakowali się, by powrócić do Anglii. Nas zainteresują szczegóły warsztatu translatorskiego Kanadyjki.

„W związku z *balwo* na temat zębów dziewczyny przypominających kawałek białej kory, zauważcie, że dodałam linijkę niż było w somalijskim. Niemniej nie dodawałam niczego jeśli chodzi o znaczenie a jedynie dodałam frazę o drzewie *galol* oraz drobiazg o Zailah. Postąpiłam tak, gdyż a) kora pochodzi z drzewa galol i wydawało mi się bardziej jasne niejako. Jest ono w wierszu i tak implikowane; b) wers o perłach Zailah… Pamiętam, Sheilo, że gdyś o tym rozmawiała z Omarem, myślałaś ze miał na myśli perły. Skoro więc one były w założeniu (I w rzeczy samej wypowiedziane) w wierszu, dodałam w Zeilah, myśląc, że pośrednio to było implikowane i dodało atmosferze wierności. To był trudny wiersz, bo po angielsku ludzie nie mówią o zębach kobiety, chyba że reklamując pastę do zębow. Dlatego czułam, że trzeba to zrobić bardziej egzotyczne nieco i osobliwe niż spotykamy zazwyczaj w poezji somalijskiej. Obraz byłby do przyjęcia, gdyby stanowił część zupełnie innej kultury, ale nie gdyby oddać go w realiach zupełnie angielskich. Dlatego też użyłam ‘Allah’ zamiast ‘Bóg’. Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie, w każdym razie, będę z zainteresowaniem czekała na wasz komentarz i krytykę…”

List Laurence z Somalii datowany 22 kwietnia 1953 nawiązuje do poprzedniej korespondencji, w której były jakieś zgrzyty. Pisze apologetycznie: „Ogromnie ubolewam, jeśli mój list był nieco opryskliwy. Tak na prawdę to, nie chciałam. Obawiam się, że zwykłam przesadnie bronić tego, co sama zrobiłam i w rezultacie mogę się wydać grubiańska. Gusiu, szanuję Twoją radę. Doceniam z pewnością argument wzmiankowany w ostatnim liście o wielkiej wadze opinii publicznej w Twojej pracy i zupełnie się z nią zgadzam. Cieszę się, że jednak dostrzegasz mój punkt widzenia, jeśli idzie o tę szczególną książkę i jej zadanie. Tłumaczyłam panu Shirleyowi. Niemniej sprawę ortografii, który rozumie Twoje uczucie. Rzekł, że jest zdania, żeby wiersze somalijskie wydrukować bez somalijskich oryginałów. Jasno pojmował, że nie chciałbyś niczego drukować w Somalii, co by nie było w absolutnej zgodzie z nową ortografią. W związku z tym przeglądnęłam skrypt i sprawdziłam wszystkie nazwy szczepów i miejscowości pisząc je wedle starego systemu…”

Kanadyjka powodowana młodą ambicją i niecierpliwym egotyzmem dążyła do szybkiego efektu, natomiast Guś, weteran kampanii libijskiej, niezupełnie uleczony z rany odniesionej pod Tobrukiem a jednocześnie subtelny poeta, który dopiero co wszedł na ścieżkę prawości badacza naukowego, dokładnego dbał o najwyższy respekt dla oryginału zarówno jako subtelny lingwista oraz prawdziwy poeta.

Dla niego najważniejsza była właściwa, nowa ortografia, skoro był jednym z jej twórców i propagatorów na cały kraj a jego wkład został oceniony przez władze, które nadały mu Order Gwiazdy Somalijskiej w 1988.

Przed laty Andrzejewski podarował mi egzemplarz przełożonej przez siebie na język angielski powieści somalijskiej „Ignorance is the Enemy of Love" (Ignorancja jest wrogiem miłości). W przedmowie do niej podkreśla on swoje kryteria dobrego przekładu. Obstaje przy wysokim stopniu wierności tekstu, zaręcza też, że nie pozwala sobie na niewskazane swobody nawet w miejscach, które mogłyby przyczynić się do łatwiejszego czytania przekładu, czy przybliżenia go do wyimaginowanego standardu oczekiwanego od powieści pisanej po angielsku. Szczególną troskę poświęcił zachowania obrazowania poezji, nie próbując imitować jej systemu aliteracyjnego, a tym bardziej układu rytmicznego. Jego zdaniem różnice między tymi językami skazywałyby takie próby na dziwaczne efekty i nałożyły niemożliwe restrykcje na dobór i układ słów.

Kiedy w 1970 roku ukazał się reprint pierwszego wydania „A Tree For Poverty" z Nairobi z 1954, Margaret Laurence dodała nowy wstęp, w którym przypomniała, że przekłady powstały już w 1952 roku. „Sądzę, że gdybym wtedy rozumiała trudności przekładania literatury, nie podjęłabym się go. Ale

człowiek młody i naiwny próbuje wszystkiego i może nie jest to takie złe. Te przekłady są amatorskie i od tamtego czasu powstały liczne inne przekłady literatury somalijskiej, o wiele bardziej naukowe i bardziej dokładne niż te. (Wiele tych późniejszych przekładów dokonał dr B.W.Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych i Afrykańskich w Londynie, który jako młody lingwista zaczynający studia w Somalii, był jednym z moich współpracowników a dziś jest czołowym autorytetem w materii języka i literatury somalijskiej).”

Dla mnie te słowa brzmią jak apologia za niecierpliwe i pochopne pociągnięcia młodej Laurence, żądnej pierwszych sukcesów pisarskich, nie rozumiejącej ostrożności i respektu dla dociekań naukowych oraz szlachetności charakteru utalentowanego polskiego współpracownika. Pewną satysfakcję mogła jej przynieść antologia „The Penguin Book of Oral Poetry”, (London 1978), która dając kilkanaście przekładów B.W.Andrzejewskiego, umieściła również cztery wersje M.Laurence z „A Tree for Poverty”.

Zapewne polski czytelnik zauważy niepewność polskiej faktografii zarówno w wypowiedziach Margaret Laurence, jak u jej biografa, Jamesa Kinga. Wnioskuję, że Laurence nie znała dokładnie przejść Andrzejewskiego, inaczej wspomniała by jego kampanię pod Tobrukiem, a także pobyt w Palestynie. Wolne Polskie Siły Zbrojne bardziej pachną wiadomościami o

Francuzach.

Pojawienie się Andrzejewskiego w polskiej prasie na Zachodzie pomylono z drukowaniem w Polsce. Autor zresztą, tylko rzadko drukujący w paryskiej „Kulturze” i londyńskich „Wiadomościach” pozostał pisarzem niedocenionym mimo zdobycia w 1970 roku nagrody „Wiadomości” i nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz wydaniu dwu zbiorów poezji „Na wszelki wypadek” (Londyn 1952) oraz „Podróż do krajów legendarnych” (Londyn 1986). Ta ostatnia pozycja ukazała się również w Polsce w 2000 roku (Agawa) ze szkicami o autorze Czesława Miłosza i Jerzego Pietrkiewicza.

Miłosz napisał o nim:

„Uważam go za jednego z poetów znaczących, lepszych niż niejedna postać o głośnym nazwisku, mająca swoje monografie i wydania dzieł zebranych. Na szczęście dla siebie nie bardzo troszczył się o laury i ubawiłoby go chyba, gdyby usłyszał, że ktoś chce go umieścić w świątyni sław naszego stulecia. Pisał wiersze dla własnej przyjemności, w chwilach wolnych od zajęć, by tak rzec, poważniejszych…”

Bogumił Witalis Andrzejewski zmarł w Anglii w 1994 roku nie doczekawszy się spełnienia marzeń, by kłusować na wielbłądzie w ceremonialnej uprzęży Alejami Jerozolimskimi w Warszawie.

Somalia zawdzięcza mu uporządkowany nowoczesny język, alfabet i zasady ortografii.

Pierwodruk: „Przegląd Polski”, dodatek do „Nowego Dziennika”, luty 2012 r. Tekst ukazał się pod tytułem „Somalijskie koneksje”.

Transformator

obciążony

Bogumił Witalis Andrzejewski z żoną Sheilą

Florian Śmieja

Bogumił Witalis Andrzejewski bawi się prądem

elektrycznym

Przed laty poeci awangardy z wielką euforią odwróciwszy się od sielankowego krajobrazu dawnej poezji, jako od obmierzłych staroci, zaczęli zamiast wsi urokliwej do swoich wierszy pakować miasto i wszelkie jego atrybuty nowoczesności i postępu. Odstawiwszy konia i rumaka polubili automobil i aeroplan. Fascynacja mechaniką kazała im na piedestał postawić maszynę, jako wielkie osiągnięcie ludzkiego umysłu, wyręczycielkę od nadmiernego wysiłku, monotonnych ruchów i wielokrotnych powtórzeń, jako skuteczną wybawicielkę od mozolnych obowiązków. Ta przydatność wydała się piękna, przygoda konstruktorów udzieliła się literatom, poeci zaczęli ją brać za obiekt kontemplacji i przedmiot swoich kompozycji.

Nieraz dzieje się to z małą domieszką humoru. i tak Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-94) zmarły w Anglii afrykanista i poeta, przypomina niedawne jeszcze sposoby ogrzewania naszych domów gazem dostarczanym przez automaty przyjmujące monety. Zanotował dla potomności, jak to w Anglii:

Gazomierzowi ze zmartwienia

Szyling stanął w gardle

Ten poeta akurat miał większe jeszcze nabożeństwo do maszyn i przyrządów wyimaginowanych jak np. *marzeniomierz* czy *marzelnia*, których był oryginalnym wynalazcą i użytkownikiem.

Zauroczył go też prąd elektryczny. To on kazał zagorzałemu humaniście i onomaście poświęcić wiele znoju i nabyć fachową wiedzę naukową z dziedziny elektryczności oraz włączyć ją do swojego poetyckiego sztafażu.

Nie zdziwi nas więc szczegół, że w tropikalnym klimacie Kamelopardii najsłuszniej zamontowano w pancerzach *„elektryczny obwód ochładzający”*.

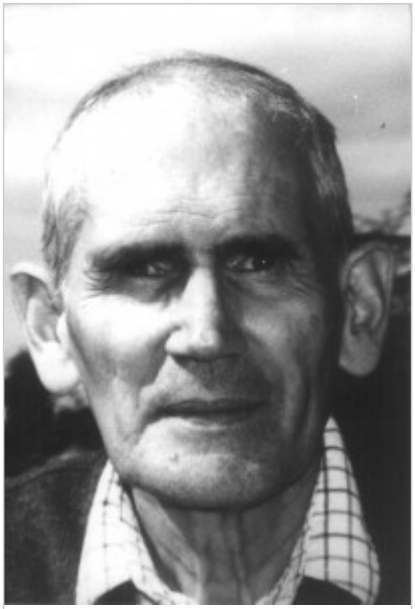

Bogumił Witalis
Andrzejewski

Gdzie indziej *„ścieżka elektryczna łączy odludzie”*, a

(klechdy mówią)

o woltomierzu nagrobku

martwą głoszącym wskazówką

równowagę śmiertelną

różnoimiennych sił

Ładnie nazwany *„galwaniec elekroliz jest zlizywaczem/ miodów z szlachetnych metali”.*

Jest mowa o stacjach nadawczych, o napięciu, o przełączniku. Dziewczynom *„w elektrostazie /żarzą się w oczach figlarne druciki/ naładowane bardzo dodatnio”.*

Policjant to *„bezpiecznik w ulic obwodzie przeciwko żarom/ zbyt wielkich napięć zatknięty”.*

Jest też sposób, by pozbyć się uciążliwych dolegliwości:

Bogumił Witalis Andrzejewski, karykatura, Krystyna Sadowska

1944 r.

…suma jarząca (latarń)

wróci myślom przewodność

jaźni utracona drożność

Poeta podpatrzył dziwy:

w prądnicy nerwów

zwoje ogromne

przekładnie, zasuwy i rygle.

Tak jak tramwaje potrzebują mocy, by powrócić do zajezdni, tak człowiek musi mieć energię, by przeżyć dzień:

mocy trzeba

na wyrób prac powszednich

żeby każdy dzień trudny

pod wieczorną remizę przytoczyć.

Wymagana jest ostrożność, bo lada chwila może nastąpić krótkie spięcie, wybuch i pożar, zastój. Dlaczego? Bo

w tunelu milczy

obciążony transformator

Choć poeta rozsiał w swoich wierszach cały słownik pojęć związanych z elektrycznością, ale w jednym utworze dał skoncentrowany asortyment, aby przestrzec młodych przed

pochopną rozrzutnością, a zachęcić do oszczędzania prądu:

PRZESTROGA MŁODYM

kiedy był młody

latał jak głupi

od anody do katody

energię podbierał

z prądnic i baterii

ażeby mieć fundusze

na różne fanaberie

na pola magnesowe

chadzał jak na stronę

i skakał i pląsał

jak rubaszny jonek

reguła lewej ręki

była jemu prawem

w ten sposób pragnął zdobyć

pieniądze i sławę

żal mu dziś tego bardzo

że tak żwawo fikał

bo burczy mu w przewodach

i po zwojach strzyka

i teraz ku starości

musi siedzieć w domu

bo prądu ma za mało

a za dużo ohmów

Tym dowcipnym wierszem z tomiku *„Na wszelki wypadek”*(1952) zamykam temat elektryczności i zapraszam do samodzielnego uraczenia się Andrzejewskiego egzotyczną *”Podróżą do krajów legendarnych”* (1985, 2000).

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w styczniu 2005 r.

W kawiarni, gdzie

niegdyś grano jazz

Cafe Neringa w Wilnie

Czas wchodzi do Wilna poprzez drzwi kawiarni.

Brodski “Café Neringa”.

Romuald Mieczkowski

Przelewa się wciąż ta sama fontanna w foyer „Neringi”. Od lat nie zmienił się wystrój wnętrz. Dwie sale. Ten sam przeszklony sufit, na ścianach pseudoludowe freski z drewnianą boazerią, trochę wygodniejsze krzesła. Na scenie fortepian. Dawni bywalcy restauracji, którzy dziś przypadkowo tu zawędrują w poszukiwaniu swej młodości, mają wrażenie, że za chwile wyjdzie Ganelin, żeby w towarzystwie swego tria pograć standardy jazzowe. Jego popisy oklaskiwać będzie Venclova, przebywający gościnnie w Wilnie akurat Brodski, a wraz z nimi cała ta pstra cyganeria, która stale dawała drobne łapówki odźwiernym, żeby tu trafić…

Wspominam atmosferę sprzed trzydziestu lat, kiedy zacząłem preferować to miejsce nad innymi, jak ubiegaliśmy się o względy „cerbera” albo inaczej „bramkarza”, dając mu składkowego rubla – w nadziei, że zaliczy nas w poczet stałych bywalców – abyśmy jako wybrani, szpanując, mogli przejść przez szpaler oczekujących w kolejce w duszne i słotne wieczory na wejście, jako część owej cyganerii, która zostanie uczestnikami i świadkami kawiarnianego spektaklu, a potem będzie szczycić się, kogo akurat poznała.

A poznałem tu niemało osób – dziennikarzy, dzisiejszych asów i całkiem zapomnianych, pisarzy i poetów, malarzy, muzyków, niedocenionych artystów i prawdziwe sławy. Jest to jednak temat na inną opowieść. Często taka znajomość kosztowała, bo

wypadało fundnąć ze stypendium, a potem ze skromnej pensji, ale jakoś starczyło na kolejne przyjście…

A więc grano tu jazz. Przy stolikach – faceci, dziwacznie jak na tamte ponure czasy ubrani, długowłosi, w swych pierwszych dżinsach marki „Odra”, szczęśliwcy w firmowych, najczęściej też *via* Polska, w skórzanych kurtkach i w żółtych lub czerwonych skarpetkach, ale i o wyglądzie poważnych profesorów, w garniturach i przy krawatach, choć byli też – rzecz nie do pomyślenia – światowcy w apaszkach! Intelektualistki (czy takie w ogóle chodziły do kawiarni?) i śmiejące się studentki artystycznych uczelni w minispódniczkach, te „jazzowe” – też w dżinsach. Nie tańczono tu, chyba przy szczególnych okazjach, gdy w głowie szumiało wino…

Kuchnia była tu tradycyjnie dobra. Podobno od samych początków, kiedy w końcu lat pięćdziesiątych, w dobie „odwilży”, zbudowano pierwszy w mieście po wojnie współczesny gmach hotelu i kawiarni. Firmowym daniem „Neringi” były kotlety „po kijowsku”, coś w rodzaju *de volaille* z drobiu w tłuszczu. Nikt nie wie, dlaczego nazwano je „po kijowsku”, ale taki jadłospis był zatwierdzony na cały Sojuz, z tym, że gdzie indziej z braku surowca przeważały pierożki z kapustą. Popularnością cieszyła się sałatka „stołeczna”. Ta nazwa była nieporozumieniem. Kiedy z jakiejś okazji zaprowadziłem tu rodziców, powiedzieli – jakaż ona „stołeczna”, to zwykła, domowa, tylko gorsza i bardziej

„upiększona” sałatka, z kawałeczkami kiełbasy, gotowanymi ziemniakami „w mundurach”, a wszystko pokrajane w kwadraciki, plus inne niewymyślne socjalistyczne dodatki. Ale sałatka ta miała powodzenie: była tania.

Piło się w „Nerindze” raczej wytrawne trunki, wszak była to „inteligencka” knajpa – głównie wina i koniaki. Prócz mołdawskich i z republik sowieckiego Zakaukazia węgierską – „byczą” i „niedźwiedzią krew”, ale i rizlingi, były delikatne słodkie wina rumuńskie, popularnością cieszyła się bułgarska „Gamza”. Był czas, że nie podawano jej w butelkach – okrągłych bańkach, lecz „dla podniesienia kultury picia” w kieliszkach, jeśli się nie mylę – po 38 kopiejek za setkę. Dla wygody towarzystwo zamawiało od razu z dwadzieścia-trzydzieści kolejek… Kelner był wielkim panem, ciągle go trzeba było nagabywać, łapać, kiedy prześlizgiwał się między stolikami, a on ciągle udawał, że nie widzi gościa. Prawda, w „Nerindze” pracowały kelnerki, większość których znaliśmy po imieniu. Wśród bułgarskich win było też „Caberne” z goryczą korka… Kto wolał coś mocniejszego, zamawiał rum kubański. Były „etapy” egipskiej anyżówki, arabskich rumów, portugalskiego porta. Szampan raczej sowiecki, wódka – na dalszym planie i raczej wytrawna, choć kto chciał „pod śledzika” napić się czystej, zawsze ją dostał.

Fortepian przywołuje wspomnienia, a tymczasem z taśmy dolatują dźwięki jakiejś orkiestry – może Paula Mauriata, może

Jamesa Lasta. Sentymentalne i wiecznie zielone przeboje, wyłapuję z tego „Strangers in The Night”, „Spanish Eyes”, „Love Me Tender”. Są „Parasolki z Cherbourga”, „Love Story”. Muzyczka płynie dyskretnie, jak przelewająca się w głębi fontanna, można sobie pogadać. Jadłospis dziś znacznie grubszy niż kiedyś, ale z dawnych potraw niewiele, chyba tylko „karbonat” czyli kotlet schabowy. Niektóre nazwy stały się politycznie niepoprawne, próżno więc prosić o dawny kotlet po kijowsku, wódkę moskiewską czy szaszłyk gruziński. Dla gościa z Ameryki z potraw lokalnych zamawiam chłodnik i cepeliny.

Jest ich nie za wiele. Przeważają raczej „wszędobylskie” dania jak befsztyk i *boeuf Stroganov*, dużo zagranicznych nazw, z których trudno się zorientować, co się pod nimi kryje. Na deser – truskawki w cukrze, lodów zabrakło. Aż 60 porcji pochłonęła tuż przed nami grupa młodych ludzi z Danii.

Potrawy smakowały gościowi, dawnemu wilniukowi, który w międzyczasie wspominał przedwojenną gastronomię Wilna. „Tylko jakoś tu smutno” – zauważył. Rzeczywiście, światła mało, wszyscy tacy poważni, nawet młodzi ludzie, za sąsiednim stołem chłopak z dziewczyną, obydwoje jak „ziemię sprzedawszy”. Gość przywołał wspomnienia, jak to bywało wesoło w „Zaciszu”, „Strallu” – Białym, Zielonym i Czerwonym, co się działo w „Literackiej”. Ja przywołałem swoje wspomnienia odległe o pokolenie. Przytaknąłem – rzeczywiście, nie jest wesoło.

A „Neringa” znalazła kolejne swe wcielenie – jako część składowa „Scandic Hotelu”.

Cafe Neringa w Wilnie

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2004 r.